

Z życia noworodków

CIEKAWY CYFRY.

Bardzo dokładnie prowadzona statystyka urodzeń na jednej z klinik wiedeńskich w okresie lat 5 (od 1921 do 1925) wykazała, że na 14 tys. urodzeń przypada 800 dzieci, które przyszły na świat pozornie martwe. Po zastosowaniu różnych zabiegów lekarskich z liczby tych 800 — 70 dzieci nie udało się przywołać do życia; dalszych 30 udało się cokolwiek ożywić, lecz zmarły one w ciągu najbliższych dni. Czyli w sumie 13 proc. ogólnej liczby dzieci, które przyszły na świat pozornie martwe, nie miały sił do życia naprawdę.

Jednakowoż pozostałe 87 proc., czyli cała niemal liczba dzieci pozornie martwych, wyszły z kliniki zupełnie normalne i żywe. Zawdzięczają to, oczywiście, wielkim postępom w technice lekarskiej, która umie tworzyć dziś niemal cuda.

MÓJ EKRAN

NERWOWY JEGOMOŚĆ.

Rozmowa toczyła się o przyszłej wojnie. Prawie wszyscy obecni byli przekonani, że nie da się ona uniknąć i że wybuchnie niedługo.

— Za dwa lata! — twierdził jeden.

— Za pięć! — prosił drugi.

— Za dziesięć — łagodził trzeci.

Mój przyjaciel, pan Barnaba, słuchał tych ponurych kraków z pobłażliwym uśmiechem na szerokiej, rumianej twarzy, poczem wtrącił się do rozmowy ni w pięć, ni w dziesięć:

— Zabawna przygoda zdarzyła mi się zeszłego roku w Paryżu. Mieszkalem w pensjonacie, a że jestem dosyć hałaśliwy, więc jakiś nerwowy jegomość z dołu, skarżył się właścicielce tego zakładu, że budzą go ze snu moje buty. Bo trzeba wam wiedzieć, że ja mam brzydki zwyczaj: zdejmując buty wieczorem, rzucam je na ziemię, zamiast sławiać delikatnie koło łóżka. Właśnie tego wieczoru wróciłem w doskonałym humorze i, kładąc się spać, swoim zwyczajem cisnąłem lewy but z hałasem na podłogę. Tu przypomniałem sobie sąsiada z dołu i wobec tego prawy but zrzuciłem delikatnie i pieczołowicie postawiłem na dywanie, poczem zasnąłem twardym snem. Świtło już, kiedy zbudziło mnie gwałtowne kołatanie do drzwi.

— Pali się, czy co? — była moja pierwsza myśl. Otworzyłem... i zdebiłem. Przedemną, w grubym negliżu, stał sąsiad z dołu. Twarz miał zieloną, ręce mu drżały i zęby dzwoniły.

— Panie — wyjęczał — na miłość Boską, kiedy nareszcie zdejmiesz pan ten but?

— Jaki but?

— No, ten drugi. Bo ja słyszałem tylko grzmiotnięcie jednego buta o podłogę i doczekać się nie mogę drugiego, ażeby nareszcie zasnąć spokojnie!

Pan Barnaba skończył i jał zapalać cygaro.

— No dobrze, bardzo to zabawne, ale co to ma do przyszłej wojny? — zagadnął jeden z obecnych.

— To, że jesteście wszyscy, jak ten mój sąsiad: denerwujecie się niepotrzebnie.

Sat.

Organizacja „Czarnej ręki”

Zbrodnicza działalność znanych na cały świat rabusiów

Podpalają, przemycają, fałszują pieniądze, wymuszają

Wielka ta organizacja zbrodniarzy powstała na gruncie St. Zjednoczonych w połowie ubiegłego stulecia; jest to organizacja o charakterze wybitnie międzynarodowym, bo należą do niej Amerykanie, Francuzi, Hiszpanie, lecz rolę kierowniczą grają Włosi, którzy zresztą uchodzić mogą nawet za założycieli.

Członkowie „czarnej ręki” nie cofają się przed żadną zbrodnią; gdy chcą np. otrzymać wysoką premię ubezpieczeniową, podpalają; mają doskonałą służbę przemycniczą; fałszują i puszczają w obieg pieniądze; ale najbardziej rozpowszechnionym i najzyskowniejszym rodzajem ich „pracy” jest wymuszanie. Dzięki temu ostatniemu sposobowi „czarna ręka” zarabia rocznie nieprawdopodobnie wysokie sumy.

„Czarna ręka” jest swego rodzaju państwem w państwie; pomijając już to, że ma świetnie zorganizowany wywiad, pracujący wyłącznie dla bezpieczeństwa organizacji, — posiada ona świetne biuro informacyjne. Zadaniem tego biura jest dostarczanie szczegółów o stanie zamożności przybywających do Ameryki Włochów, Hiszpanów, Portugalczków i wogóle narodów romańskich. Otrzymywane tą drogą informacje są bardzo ściśle zapisywane do specjalnych ksiąg rejestracyjnych.

Z biura rejestracji informacje te idą do wydziału finansowego, którego obowiązkiem jest odpowiednio „opodatkować” daną osobę na rzecz „czarnej ręki”. Zwykle taka zarejestrowana osoba, po ustaleniu przez „czarną rękę” wysokości sumy, jaką winna płacić, otrzymuje pocztą zawiadomienie, że ma miesięcznie, kwartalnie czy też w innych odstępach czasu wpłacać ściśle określoną sumę, po którą we wskazanym czasie zgłaszać się będzie inspektor „czarnej ręki”, posiadający odpowiednią legitymację. Opór na nic się nie przyda, gdyż w większości wypadku ci, którzy płacić nie chcą, giną śmiercią zagadkową.

W wykonywaniu swych zleceń jest „czarna ręka” niezmiernie pomysłowa i nieugięta: to opierającemu się spali fabrykę czy sklep, to zamorduje członka jego rodziny czy obrażuje i t. p. A już szczytem uporu i pomysłowości był wypadek następujący:

W r. 1906 „czarna ręka” chciała zmusić rodzinę zmarłego irlandczyka X. do zapłacenia wysokiego okupu; ponieważ spadkobiercy na to zgodzić się nie chcieli, „czarna ręka” wykradła trumnę ze zwłokami z kościoła; wprowadziła policję, udało się trumnę odnaleźć i pogrzeb się odbył, ale w tydzień pobytu wykradziono zwłoki po raz drugi, tym razem już z grobowca rodzinnego. Rodzina poddała się i żadaną sumę wpłaciła.

Kino w Indjach

Sześciu magnatów hinduskich zebrano wielką sumę 1 miliona funtów (z górą 9 milionów złotych) dla propagandy kina i filmów angielskich w Indjach. Towarzystwo, opiekując się na tym kapitale, ma zamiar wznosić 300 budynków kinowych.

Znawcy utrzymują jednak, że o

W icago członkowie „czarnej ręki” schwytali i trzymali w ukryciu dwu braci Jaksonów, dzięki czemu zmusili trzeciego, bogatego fabrykanta konserw, do tego, by wpłacił organizacji 50 tys. dolarów okupu.

Artyści i kierownicy teatrów są stale pod terorem „czarnej ręki”. Jeśli nie chcą płacić żądanych sum, agenci wpadają na widownię i albo urządzają skandal, albo sztucznie wywołują panikę, krzycząc „pożar”, i przedstawienie musi być przerwane. Ustalono już obecnie, że Caruso płacił „czarnej ręce” za każdy swój występ gościnny, że taki sam „podatek” płacił i płaci dotąd Szalapin.

Policja rady sobie z „czarną ręką” dać nie może, najpierw dlatego, że prawodawstwo amerykańskie nie daje dostatecznych środków w walce z takimi organizacjami, lecz głównie dlatego, że kierownictwo organizacji „czarnej ręki” jest nieuchwytnie, bo ma siedzibę

poza St. Zjednoczonymi, najpewniej we Włoszech.

Jeśli uda się policji przyłapać kogoś z tej szajki, to oczywiście idzie do więzienia, ale niu się dobrze powodzi, bo organizacja wspiera go wszelkimi siłami, dbając też i o rodzinę. A gdy wreszcie opuści więzienie, dostaje nowy paszport i pod nowym nazwiskiem nanowo rozpoczyna „karierę”. Próbowano nieraz wsadzić do „czarnej ręki” prowokatorów, lecz organizacja bardzo się ich strzeże i nikogo nie przyjmie do swego grona, zanim kandydat nie wykona kilku zbrodni, które już na zawsze wyłączają dlań powrót do uczciwego życia.

Kto raz wejdzie do organizacji, pozostaje w niej do śmierci; jeśli nawet zdarzy się wypadek, że któryś z członków bandy zostanie z niej zwolniony, — długie lata pozostaje pod ścisłą obserwacją w obawie, by kogoś nie zdradził.

Poszukiwacze diamentów

Z życia południowej Afryki

Przed sześciu tygodniami w okolicach Lichtenburga (Afryka poł.) znaleziono nowe tereny diamentowe. Rzuciły się na nie zaraz rzesze chciwych poszukiwaczy w liczbie około 15 tys. osób, w czym zaledwie 120 kobiet. Ledwie władze zdołały ustawić silne posterunki policyjne i choć z gruba wymierzyć teren, już rozpoczęła się gorączkowa praca.

To też w miejscu, gdzie doniedawna stały jedynie dwie nędzne chatki, powstało w bardzo krótkim czasie całe miasto z restauracjami, sklepami, a ludność urosła od razu do 30 tysięcy. Ludność ta jest nieprawdopodobnie różnorodna, bo wśród poszukiwaczy złota są i zawodowcy, i chłopcy, którzy zaledwie ukończyli szkołę, młode i stare panny i kobiety, szybkobiegacze, członkowie olimpiad, starzy i młodzi chłopcy, urzędnicy na urlopie, a nawet beznogie kaleki.

Wśród nich panuje niebывały zgłęb i hałas, kłótnie o tereny, lecz niema tego, co się dzieje na tego rodzaju polach w Ameryce; tam pijaństwa, morderstwa i inne zbrodnie są na porządku dziennym, gdy w Afryce południowej tego rodzaju wykroczeń jest mało. Ten względny spokój i porządek zawdzięczać należy temu głównie, że istnieją tu specjalne rady, które odmawiają prawa pobytu jednostkom awanturniczym.

Wprawdzie poszukiwacz diamentów, gdy mu się powiedzie, może zarobić miesięcznie do 300 tys. funtów (12 milionów zł.); ogólnie jednak i tutaj nę-

dza nieraz w oczy zagłada. Bo ze wszystkich pracujących zaledwie 5 proc. znajduje cenne diamenty, 40 proc. potrafi tym, co znajdzie, opędzić koszty, reszta zaś, nie mająca nawet tyle szczęścia, żyje w nędzy, i coraz to bardziej stacza się po pochyłości w odmęt.

Instytut dla głuchoniemych w Bordeaux

Powstał w r. 1786 z inicjatywy arcybiskupa Bordeaux, który, oglądając wyniki pracy nad głuchoniemymi jednego z podwładnych sobie kapłanów, postanowił założyć specjalny instytut. Arcyb. zlecił kierownictwo zakładu ks. Sicard, który wraz ze swymi przyjaciółmi prowadził wytrwale wielkie dzieło przywracania światu niezliczonych rzesz wydziedziczonych.

Od r. 1859 instytut w Bordeaux przeznaczony jest wyłącznie dla dziewcząt, stale jest ich w zakładzie po 250, a od chwili powstania około 4 tys. dziewcząt odbyło tu wykształcenie. Początkowo stosowano w nauce metodę znaków palcami, wyobrażających litery; ale około r. 1830 zmieniono ten system na rzecz porozumiewania się przy pomocy ruchów ust.

Dziś metoda ta stosowana jest wszędzie; głuchoniemy uczy się czytać na wargach, rozumieć wyrazy wymawiane przez rozmówcę według pozycji i ruchu warg; uczy się ich też prowadzenia rozmowy w ten sam sposób. Z czasem wychowanki instytutu uczą się nawet wydawania odpowiednich dźwięków i zaczynają — z trudem co prawda — mówić jak istoty normalne, nie upośledzone tym bardzo przykrem kalectwem.

Naturalnie, poza nauką mowy uczennice uczą się i innych rzemiosł, co im pozwala nie być ciężarem dla otoczenia; przeważnie poświęcają się one konkarstwu, szyciu,

NA SZEROKIM

ŚWIECIE

Fantazja przyszłości

za 100 lat ludzie będą żyli 200 lat, jeżeli nie więcej

Dawno już uczeni twierdzili, że śmierć nie jest rzeczą tak naturalną, jak nam się zdaje. Zakwestjonowali również wczesną śmierć z powodu starości.

Uczony angielski Ronald Rose dowiódł, że prace w laboratoriach, dokonywane w przeciągu ostatnich lat 80-ku, przyczyniły się do przedłużenia życia ludzkiego przeciętnie o lat 20. Twierdzi on dalej, że im bardziej nauka badać będzie tajemnice organizmu ludzkiego, tem dłużej człowiek żyć będzie mógł.

Doktorzy Rutherford, Harison i Depler z instytutu Rockefellera w Ameryce twierdzą, że już wynaleziono nowe środki na utrzymanie komórek ciała ludzkiego w stanie żywotnym. Będzie to mogło przedłużyć życie ludzkie o kilkadziesiąt lat przeciętnie.

Uczni twierdzą, że można zmusić komórki do nieustannej pracy, do niezmęczenia się i do niezapoczątku przed czasem procesu gnilnego.

Wspomniany doktor Karol Depler odkrył, że świeżo odkrył środek na odnowienie naczyń krwionośnych ciała ludzkiego. Jest to rodzaj surowicy do zastrzyknięcia, która zabija bakterie niszczące komórki i niedające im pracować.

Wybitni uczeni twierdzą, że to odkrycie dra Deplera jest największym cudem nauki. Dalsze postępy w tym kierunku, zdaniem uczonych, przyczynią się do tego, że w roku 2000-m człowiek będzie mógł żyć przeciętnie lat 200, czując się ciągle rześkim i zdolnym do pracy.

Wynika z tego, że kto dożyje 100 lat, będzie żył... 300.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przy odbiorze pensji

Wybitną osobistością, która od szeregu lat co miesiąc wypłaca pensję prezydentowi St. Zjednoczonych, jest urzędniczka skarbu, p. Katarzyna Shea; pełni ona tę misję od czasu, gdy prezydentem został Roosevelt. Osoba ta była niedawno przedmiotem wywiadu dziennikarskiego i oświadczyła, co następuje:

„Od lat 25 jestem urzędniczką skarbu i wypłacani pensję prezydentom; punktualnie ostatniego każdego miesiąca kroczę ku białemu domowi z kopertą, w której jest czek na 6250 dol. Udam się wprost do gabinetu prezydenta i podaję kopertę, za którą ten dziękuje; dodając nie raz nawet jakąś uwagę.

Prezydent Harding, odbierając ostatnią swą pensję, powiedział do urzędniczki: „mam nadzieję, że przyniosła mi pani dość pieniędzy, abym mógł za nie wyjechać na wypoczek”. Prezydent Taft był bardzo uprzejmy, ale najmilszy jednak był Roosevelt.

Te 6250 dol. — to tylko pensja osobista prezydenta; pozostałe sumy otrzymuje on bezpośrednio z kasy państwowej, do sum tych wchodzi: 25 tys. dolarów tytułem zwrotu kosztów podróży, 125 tys. dolarów na utrzymanie białego domu wraz ze służbą, 26 tys. pobiera na koszty telegrafu, poczty i telefonu, wreszcie 59 tys. na utrzymanie policji, strzegącej białego domu.

Osobiste wydatki prezydenta są tak znaczne, że dość trudno je pokryć z pensji; obecny jednak prezydent Coolidge jest tak bardzo oszczędny, że daje sobie radę, chociaż nie posiada majątku osobistego.